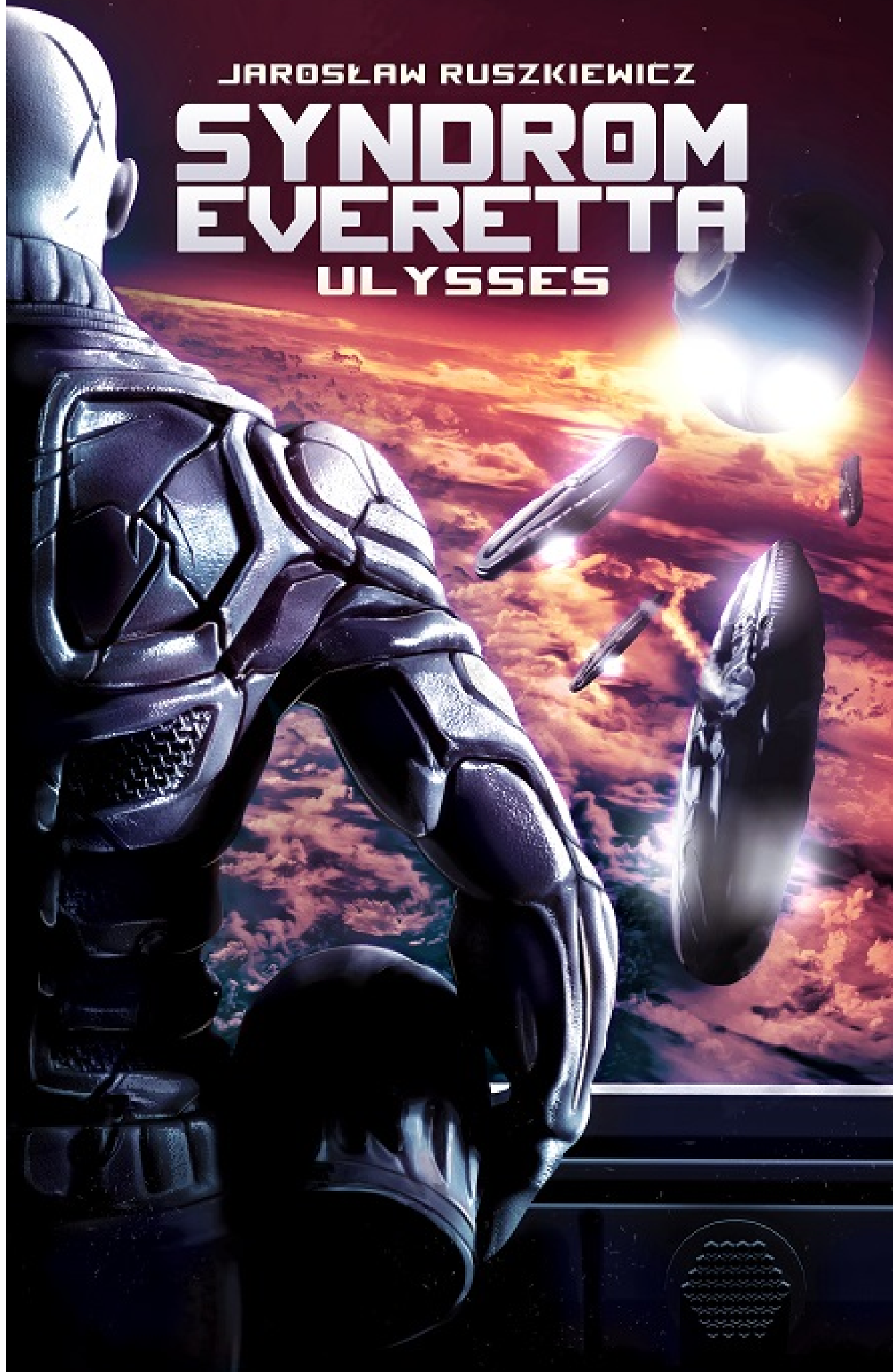


JAROSŁAW RUSZKIEWICZ

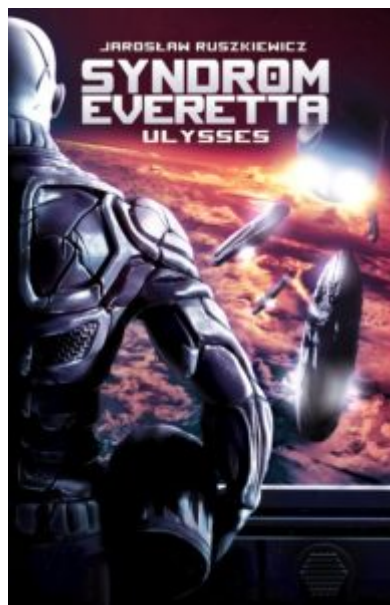
SYNDROM EVERETTA

ULYSSES



Piknik na skraju Mlecznej Drogi

nimfa bagienna



Nie ma co się oszukiwać - jesteśmy tylko lekko zapóźnioną cywilizacją na peryferiach Galaktyki. Oraz... pionkiem w grze między kosmicznymi potęgami. Kazimierz Kozłowski recenzuje debiut Jarosława Ruszkiewicza - „Syndrom Everetta. Ulysses”.

Znakomity radziecki astronom, Josif Szklowski, poświęcił pół życia na poszukiwanie pozaziemskich cywilizacji. Lecz kiedy z przestrzeni nie nadszedł nawet słabiutki sygnał, świadczący o tym, że gdzieś tam istnieją nasi bracia w rozumie, zwątpił w sens poszukiwań i uznał, że jesteśmy jedyną cywilizacją w całym kosmosie. Jarosław Ruszkiewicz, autor grubaśnej książki „Syndrom Everetta. Ulysses” jest wręcz przeciwnego zdania. W swojej debiutanckiej powieści (zresztą – pierwszym tomie trylogii) daje wyraz pogładowi, że Oni nie tylko gdzieś tam są, ale znacznie przewyższają nas w rozwoju, a ponadto już dawno nas znaleźli.

Brzmi zachęcająco? Owszem. „Syndrom Everetta. Ulysses” jest precyzyjnie skonstruowaną historią obejmującą swym zasięgiem ponad czterdzieści tysięcy lat istnienia cywilizacji. Tyle że... nie jest nią cywilizacja stworzona przez ludzi.

Książka rozpoczyna się nieco myląco – jak klasyczna space opera. Obserwujemy kosmiczne starcia znakomicie wyposażonych jednostek floty międzygwiazdnej, dramatyczne decyzje dowódców, wreszcie porażkę i odwrót jednej za stron. Dynamiczny, spaceoperowy początek może wprowadzić czytelnika w błąd, gdyż powieść nie jest space operą, reprezentuje połączenie opowieści o kontakcie i przyszłościowego katastroficznego thrillera.

Bo na skraju zapyziałej galaktyki spiralnej z poprzeczką znajduje się niepozorna gwiazda obiegana przez osiem planet. Na trzeciej z nich zrodziło się życie, choć o cywilizacji na razie nie ma mowy. I tam właśnie chronią się niedobitki kosmicznego starcia. Odkryli nas, zanim my spojrzeliśmy w gwiazdy. Żyją wśród ludzi, starannie ukryci, a my nie mamy o nich pojęcia.

Intryga, jaką wymyślił Ruszkiewicz, mocno działa na wyobraźnię. Bo jak pogodzić się z tym, że jesteśmy manipulowani – i to nie jako jednostki, ale jako cała cywilizacja? Że tańczymy, jak nam zagrają, nie zdając sobie z tego sprawy, i nie podejrzewając, że wszystko, co robimy, przybliża nas do spektakularnego końca, do wielkiego „bum!” na skalę ogólnoziemską?

Trzeba przyznać autorowi, że sposób, w jaki zamierza zakończyć istnienie ludzkości jest interesujący i doskonale zaplanowany... a być może nawet możliwy z punktu widzenia nauki. Dobrze odzwierciedlona jest także gra wywiadów, a moment, w którym Oni (a właściwie niektórzy z Onych) się - w pewnym sensie - ujawniają, także wygląda wiarygodnie. Nie następuje to bowiem w blasku reflektorów czy pośród spektakularnego zstąpienia z niebios, lecz odbywa się tak, jak trwało: po cichu. Jeśli o to chodzi, lektura spełniła wszelkie moje oczekiwania.

Niestety, mam również kilka słów krytycznych. „Syndrom Everetta. Ulysses” liczy prawie siedemset stron... z mojego punktu widzenia o dwieście-trzysta za dużo. Autor przyłożył się do roboty, lecz niestety chwilami za bardzo. Atrakcyjną i dynamicznie skonstruowaną akcję „rozrzedzają” drobiazgowo opisy wnętrza, pogody, przyrody itp. Jeśli bohater wychodzi na przechadzkę, można być pewnym, że czytelnik otrzyma nie tylko dokładnie opisaną mapę terenu (co akurat jest pożądane), lecz także kolor obłoków, strój kilkunastu przechodniów i usytuowanie anten na dachu budynku przy sąsiedniej przecznicy. Nagromadzenie szczegółów, niejednokrotnie bez znaczenia dla akcji, podczas czytania wybija z rytmu, często łapałem się na refleksji w rodzaju „Na czym to stanęliśmy?”, po czym przewracałem ostatnie dziesięć stron, by odświeżyć sobie wątek. Zamiłowanie do zalewania czytelnika potokiem nieważnych informacji to - na szczęście - jedyna poważna usterka, której się w tej książce dopatrzyłem.

Zetknąłem się z opinią, że wielowątkowość książkom szkodzi, bo trudno jest się skupić na śledzeniu akcji. Nie pamiętam, kto był twórcą tej rewelacyjnej tezy... może to i lepiej. Tymczasem w powieści o tych gabarytach rozbicie akcji jest raczej nie do uniknięcia - syndrom Everetta pojawia się w książce dość późno, i zanim zrozumiemy sens nadania powieści takiego, a nie innego tytułu, poznamy mnóstwo pobocznych nurtów, które pięknie łączą się w jedną całość. To jest taka fantastyka, jaką lubię: oryginalna, z podbudową naukową i nutką sensacji. Gdyby była pisana w sposób bardziej zwięzły, nie miałbym się do czego przyczepić. Tak czy owak, autorowi gratuluję udanego debiutu i czekam na kolejny tom.

Kazimierz Kozłowski

Tytuł: „Syndrom Everetta. Ulysses”

Autor: Jarosław Ruszkiewicz

Wydawca: Drageus Publishing House 2015

Stron: 644

Cena: 49,90 zł